

Jej nowy szef jest arogancki,
wredny, złośliwy i...
seksowny jak diabeł

BOSS of me

TIA LOUISE



Tytuł oryginału

Boss of Me

Copyright © 2019 by Tia Louise

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agata Polte

Korekta:

Justyna Nowak

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-364-4

TIA LOUISE

BOSS OF ME

TŁUMACZENIE

SYLWIA GOŁOFIT-LENDĄ

OŚWIĘCIM 2020

Nigdy cię nie zostawię, nigdy o tobie nie zapomnę.

George S. Fletcher II

Prolog

Patton

Siedem lat temu. W dżungli, na południe od granicy...

Zegar tyka.

Musimy się pospieszyć, inaczej wszystko się posypie.

Pot spływa mi po twarzy. Oddycham wolno, żeby uspokoić tętno.

Powietrze jest ciężkie, lepkie, tak gęste, że niemal można je zobaczyć, i tak gorące, że nie sposób nim oddychać.

Szerokie lśniące liście tropikalnych roślin tworzą zwarty mur. Siedzimy ukryci w zaroślach otaczających budynek z żuźlowych pustaków.

Nasz cel to zielona kropka migocząca po prawej stronie na moim ekranie, na wprost nas.

Jest tu.

– Wchodzę, na jedenastej – słyszę cichy głos Tarona.

– Idę od południowego wschodu. – Nadchodzi błyskawiczna odpowiedź Sawyera. W jego głosie daje się słyszeć wyraźny południowy akcent.

– Bez hałasu. Żadnych jeńców. – Mój rozkaz jest zdecydowany i jasny.

To ja dowodzę tą trzyosobową misją ratunkową. Wiem, że nam się uda.

Otoczamy obdrapaną rudere. Stoimy w cieniu, panuje cisza. Okna wyglądają jak czarne otwory bez szyb, puste kwadraty,

które mogą skrywać wszystko – choćby strażników z bronią trzymających nas na muszce.

A może nasz cel jest sam.

Nie, to byłoby zbyt proste.

A może nie żyje.

Zaciskam zęby i odganiem od siebie tę myśl.

Martwy na nic by im się nie przydał.

Przyklękam, przykładam powoli karabin do oka, ustawiam celownik na drzwi wejściowe. Śledziliśmy sygnały radiowe, maile i adresy IP, aż namierziliśmy ich tutaj.

Martina napadli dwa tygodnie temu, kiedy jechał na stację benzynową. Ze strzępów informacji, jakie zdobyliśmy, wynikało, że obezwładnili go gazem pieprzowym. Potem zaczęli przysyłać filmy.

Czternaście dni wypełnionych ziarnistymi obrazami naszego kumpla i jeszcze jednego żołnierza przywiązanych do krzesła, z workami na głowach. Zdejmowali im je, żeby pokazać czarne oczy i posiniaczoną skórę. Potem były groźby. Broń i forsa – tylko tego chcieli. Do teraz. Chwila prawdy w sercu południowo-amerykańskiej dżungli.

Wykończeni, spragnieni, skupieni tylko na tym, by odbić przyjaciela porwanego poza służbę, podczas zwykłego postoju w drodze na misję pokojową w Caracas.

Sawyer melduje się na swojej pozycji. Patrzymy, jak Taron czołga się od frontu budynku, zbliża do zniszczonych drewnianych drzwi. Broń ma wspartą o klatkę piersiową. Ostrożnie wyciąga dłoń i puka.

Trzy krótkie stuknięcia, potem czekamy.

Nikt nie oddycha.

Żadnej odpowiedzi.

Taron spogląda na mnie, kiwam głową. Przód i środek są moje, ubezpieczam go.

Nikt się obok mnie nie prześlizgnie.

Nikt nie dostanie moich ludzi.

Jesteśmy braćmi – o nikim nie zapominamy, nikogo nie zostawiamy w tyle.

Serce wali mi jak młot. Przeszliśmy wiele szkoleń, ale tu i teraz wszystko jest nieprzewidywalne. Liczymy na element zaskoczenia. Mamy nadzieję, że porywacze myślą, że nadal jesteśmy w Los Cabos. Ale może ich nie doceniamy. Potrząsam głową, mrużę do siebie: raczej nie.

Te naćpane zbiry śmiały porwać żołnierza piechoty morskiej. Jedynie moje przekonanie o tym, że uda się odbić przyjaciela bez zbędnych ofiar powstrzymuje nas przed spaleniem tej budy.

Szczęka Tarony jest zaciśnięta, rękawy podkoszulka wystające spod kuloodpornej kamizelki ma poplamione potem, jasnobrązowe włosy są mokre. Wszyscy mamy na twarzach kamuflaż, przez co nasze oczy niemal świecą.

Wstrzymuję oddech. Policzek przyciskam do lufy. Wokół nas niczym chór wzmaga się dźwięk cykad. Jest coraz głośniejszy.

To ostrzeżenie.

Odganiam od siebie tę myśl. Skupiam się na Taronie.

Zza krzaku po przeciwnej stronie domu wyłania się cień Sawyerera. To ja wydaję rozkazy, ale jesteśmy braćmi. Wspieraliśmy się nawzajem od Pierwszego Dnia. To nie jest zwykła misja ratunkowa. Martin to rodzina.

Taron odsuwa się od betonowej ściany.

Trzymam palec na spuście. Od tego, co się za chwilę stanie, dzielą nas tylko drewniane drzwi...

Przyjaciel unosi nogę, mocnym kopniakiem uderza w drzwi, aż te łądują na przeciwległym murze. Po zatopionej w ciszy dźwięgli rozchodzi się trzask. Taron przywiera plecami do ściany, zamiera w oczekiwaniu na grad kul.

Nic.

Trzy bicia serc, trzy bezgłośne oddechy. Kiwam głową w jego kierunku. Błyskawicznie się odwraca. Broń trzyma na wysokości

oczu, wchodzi do środka, wodząc lufą od jednej strony do drugiej. Sawyer jest przy nim, ja ruszam naprzód, żeby ich osłaniać.

– Marley! – Taron opuszcza broń, szybko biegnie w głąb pomieszczenia.

Gdy docieram do drzwi, widzę, jak zdejmuje worek z głowy naszego przyjaciela.

Mam wrażenie, jakbym dostał silny cios w twarz.

Głowa Marleya opada bezwładnie do przodu. Nie rozumiem, co mamrocze. Cienka strużka krwawej śliny ścieka z jego spuchniętych ust.

Wściekłość miesza się we mnie z adrenaliną. Pobili go niemal na śmierć, sznur wrzyna mu się w skórę. Taron szybko rozcina więzy, a ja i Sawyer rozglądamy się po budynku. Wydaje się opuszczony, zaczynamy więc bacznie szukać jakiejś amatorskiej bomby. W nieumeblowanym pokoju nie ma światła, cienie przez to są wydłużone. Kolana Marleya opadają na podłogę z tępym hukiem.

Taron pochyla się, żeby go podnieść, i wtedy ją dostrzega. Zielone kocie oczy lśniące w mroku.

– Nie! – krzyczę, gdy rusza do przodu.

Taron zdołał tylko zerknąć i zobaczyć nad sobą dłoń trzymającą maczetę.

Błysk srebrnego ostrza.

Ogłuszający huk pistoletu Tarona wypełnia całą niewielką przestrzeń wokół nas. Dziewczyna upada jak kamień. Krew, jak dźwięk z megafonu, rozplywa się wokół jej drobnego ciała leżącego na podłodze. Opadają fale długich, karmelowych włosów. Ma może siedemnaście lat.

– Boże, nie. – Taron, upuszczając pistolet na podłogę, wydaje z siebie przepętniony bólem jęk.

Przez chwilę nie jesteśmy w stanie się ruszyć ani oderwać wzroku od martwej dziewczyny leżącej na podłodze. Oczy mnie pieką, zamykam je na chwilę gwałtownie, zaciskam zęby, by

opanować emocje. Marley coś mamrocze. Jest prawie nieprzytomny, zmasakrowany tak, że ledwie można go rozpoznać. Nie wiem nawet, czy nas poznaje. Maczeta leży u jego stóp, obok martwej nastolatki.

Zabiłaby ich obu, gdyby nie Taron.

W walce nie ma czasu na zastanowienie. Kto się zawaha, zginie, rozplątany przez dziewczynę, której w innych okolicznościach nawet by nie zauważył. Nastolatkę, która nigdy nie powinna się była tam znaleźć. Dranie wyręczają się dziećmi.

– Zabierz go stąd. – Mój rozkaz brzmi szorstko. Taron się nie rusza, więc podnoszę głos: – Powiedziałem: idź!

Próbuje podnieść Marleya i wesprzeć go o swoje ramię. Sawyer rusza mu na pomoc. Ja wychodzę z budynku ostatni i jeszcze raz rozglądam się wokół. Odwracam się w chwili, gdy Taron pada na ziemię, wyjąc z bólu.

– Matko.

Przewraca się na bok. Krew cieknie mu z dolnej części pleców, którą wylądował na złamanym młodym drzewku.

– Patton, stój! – krzyczy Sawyer, a ja dostrzegam drut rozciągnięty tuż nad ziemią.

Nie mam pojęcia, jakim cudem ominęliśmy go, idąc do chaty. Sawyer dźwiga Marleya na swoim ramieniu. Jest silny jak wół od pracy w rodzinnym sadzie brzoskwiniowym. Zarzucam karabin na ramię, pochylam się i chwytam Tarona za ramię.

– Możesz iść?

Twarz wykrzywia mu grymas agonii, ale udaje mu się skinąć głową.

– Wyciągnij nas stąd.

Zaciskam zęby, marszczę czoło, zbieram w sobie siłę, by dokończyć misję. Quad zostawiliśmy na dole, ukryty w krzakach. Idę za Sawyerem z Taronem wiszącym na moim ramieniu.

Czuję na sobie krew przesiąkającą przez jego ubranie, ściekającą po nogach. Przez tę ranę może wrócić do domu. Z Marleyem

jest dużo gorzej. Ale w środku z każdym z nas jest gorzej. Uratowaliśmy towarzysza, ale to, co się stało, zostawi po sobie bliznę.

Nic już tego nie zmieni. Jednak bliznami zajmiemy się potem. Kiedy skończy się walka.

Rozdział 1

Raquel

Teraz

Gorący wiatr smaga ulice w centrum Nashville. Rozwiewa moje jasnobrazowe włosy i połę czarnego żakietu. Chwytam je, przyciskając do siebie torebkę, a telefon przykładam do ucha, uważnie słuchając słów Renée, mojej siostry, jakbym słuchała samego Boga.

– Zaprzyjajnij się z Sandrą. To dobry sojusznik. – Mimo słów wsparcia ze strony Renée, żołądek mam ściśnięty.

– Nie zadawaj zbyt wielu pytań. Jeśli coś wydaje ci się bez sensu, poczekaj i zapytaj później.

– Nie mogę o nic pytać pierwszego dnia pracy? – Na przejściu zapala się żółte światło. Korzystam z okazji, by poprawić bluzkę.

– Wydaje im się, że umiem czytać w myślach?

– Patton Fletcher nie ma czasu uczyć cię, co masz robić. Wierz mi. – Zabrzmiało to, jakby go cytowała.

– Nawet nie poznałam Pattona Fletchera.

– To kto cię zatrudnił? Taron? Tylko on mógłby sobie na coś takiego pozwolić.

– No tak. – Światło się zmienia. Przebiegam przez dwupasmową ulicę. – Rozmawiali ze mną Taron Rhodes i Jerry Buckingham.

– Hmm... – Jej sceptycyzm tylko wzmacnia moje zdenerwowanie.

– Co?

– No to musisz się pilnować. Jeśli to nie on cię wybrał, będzie szukał okazji, żeby się ciebie pozbyć.

- Dlaczego? – Ogarnia mnie panika.
- On już taki jest. Lubi mieć nad wszystkim kontrolę.
- To co mam robić? Pracowałeś tu.

Otwieram przeszklone drzwi Fletcher International, Inc. z moim jeszcze ciepłym dyplomem MBA¹ z Vanderbilt's Owen Graduate School. Tak jak moja siostra skończyłam studia z jednym z dziesięciu najlepszych wyników na roku i dzięki temu trafiłam na rozmowy o pracę w najlepszych firmach w mieście. Chciałam wyjechać do Chicago lub Dallas, ale mój doradca zawodowy uznał, że Fletcher to świetny punkt wyjścia i miałabym się czym pochwalić, gdybym dostała od nich dobre referencje. Pewnie ten Patton Fletcher zna każdego prezesa firmy w kraju... Albo jego ojciec zna.

Szukając informacji o Fletcher International, napotkałam mnóstwo artykułów o George'u Fletcherze, ale już o jego synu niekoniecznie.

– Nie pozwól sobą pomiatać – w jej głosie pojawia się troska – nie wiem, czy robił to celowo, czy po prostu taki jest...

– A co będę mogła na coś takiego poradzić? To on jest szefem.

Zastanawiam się, czy powie mi, co jej się tu przydarzyło. Co-fam się myślami do chwili, kiedy Renée zaczęła staż w księgo-wości w FII. Wydawało się, że świetnie jej idzie. Znalazła się w rankingu: „Najlepsza trzydziestka przed trzydziestką” według „Nashville Magazine”.

Egzamin zawodowy zdała za pierwszym razem... A rok później zniknęła.

Przestała odbierać telefony, a kiedy zadzwoniłam do biura, jakaś kobieta powiedziała, że już tam nie pracuje. Musiałam rzucić wszystko w środku zaliczeń, gnać autobusem przez całe miasto do East Nashville, gdzie wynajmowała tanie mieszkanie. Wyglądała, jakby od dawna nie wstawała z łóżka.

¹ MBA (Master of Business Administration) – program typu MBA jest jednym z najbardziej cenionych sposobów kształcenia menedżerów. Kurs MBA zapewnia ogólną wiedzę z zakresu biznesu i zarządzania, uzupełniającą nabytą wcześniej na uczelniach specjalistycznych (przyj. red.).

Nie chciała powiedzieć, co się stało. Powtarzała tylko, że to rzuciła. „To” oznaczało wszystko, co jest związane z jej wykształceniem, z księgowością.

Tamtej wiosny, podczas przerwy w zajęciach, zamiast wyjechać do South Walton, jak planowałam, spędziłam tydzień, pomagając jej w przeprowadzce do Savannah, do niewielkiego domu po rodzicach, tuż pod czujnym okiem pani Hazel Wakefield, ich dawnej sąsiadki.

Teraz Renée pomaga pani Hazel prowadzić jej sklep z pamiątkami na Tybee Island, a na czynsz zarabia sprzątając starszuce dom, załatwiając dla niej różne sprawy, gotując. Po tym, jak porzuciła karierę i została tylko z pętlą na szyi w postaci kredytu studenckiego do spłaty, nie ma innego wyjścia.

– Chcesz mojej rady w sprawie Pattona Fletchera? – parsknęła, jakby miało to zająć cały dzień. – Nie wspominaj o jego ojcu. Wkurza go to.

Zmarszczyłam brwi.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

Albo to winda jedzie za szybko, albo to ona mówi za wolno.

– Nigdy nie ubieraj się cała na czarno. Nie znosi tego.

– Cholera. – Patrzę na swoje czarne spodnie i pasujący do nich czarny żakiet. – Muszę kupić jakąś apaszkę w przerwie na lunch.

– Zły pomysł. Apaszek nie znosi jeszcze bardziej.

– O co mu chodzi?

Zaciskam usta, wzbiera we mnie chęć walki. Stąd moja ksywka – Rocky. Mój tata ją wymyślił, bo jeszcze kiedy byłam mała, nigdy nie odpuściłam żadnemu łobuzowi, który mi dokuczał.

– Pamiętasz, kiedy byłyśmy małe, często mówiłaś: „Nie będziesz mną rządzić”.

– No i?

– Nigdy nie mów tak do Pattona Fletchera. – Nim udaje mi się odpowiedzieć, dodaje: – Ale też nigdy nie przestawaj powta-

rzać sobie tego w myślach. Chyba w głębi duszy jednak to lubi. W jego głosie słycać zło.

– Cóż...

– Patton Fletcher to diabeł. – Renée podnosi głos. – Może nie sam Belzebub, ale na pewno jeden z jego pomagierów.

– Nie boję się go.

Nie pozwolę żadnemu aroganckiemu młodemu prezesikowi pozbawić mnie marzeń – jeśli to właśnie zrobił Renée.

Winda się zatrzymuje, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem nie przyjąłam tej pracy właśnie po to, żeby udowodnić, że my – dziewczyny z rodziny Morganów – mamy charakter, że jesteśmy twardsze, niż wyglądamy.

– Co by się nie działo, nie wolno ci się w nim zakochać. – Jej ton staje się tak poważny, że chce mi się śmiać.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Sprawdziłam rano twój znak zodiaku. Dziś jest dobry dzień na nowy początek.

Staję w drzwiach. W samą porę. Kiedy zaczyna gadać o horoskopach i holistycznych rozwiązaniach, mam dość.

– Dzięki, siostra. Muszę kończyć. Kocham cię!

– Ja ciebie też. Trzymaj gardę.

– Dobra. – To nasze tradycyjne pożegnanie, nawiązanie do boksu.

Rozłączam się. Młody, szczupły mężczyzna w błękitnej koszuli i łososiowych spodniach za kontuarem recepcji odkłada słuchawkę i posyła mi szeroki uśmiech.

– Witamy we Fletcher International, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, nazywam się Rock... Eee, Raquel Morgan. Miałam się zgłosić do Sandry.

– Ach! Pani jest tą nową. Chwileczkę.

Czekam. Recepcjonista wciska kilka guzików i mówi coś szybko do słuchawki. Mam krótką chwilę, by się rozejrzeć po eleganckim hallu wykończonym ciemnym drewnem i szkłem,

zanim mężczyzna zrywa się ze swojego fotela i wskazuje mi drzwi do biura.

– Proszę tędy. Sandra już na panią czeka.

– Dziękuję...

– Dean.

Uśmiecha się i odwraca, by odebrać telefon. W hallu pojawia się Sandra. Od razu zwracam uwagę na jedwabną lawendową bluzkę i beżową ołówkową spódnicę. W porównaniu z tą dwójką, czuję się jak ponury żniwiarz...

To absurd! W tym kostiumie wyglądam bardzo profesjonalnie. Pod spodem mam kremową jedwabną bluzkę... Zdejmę zakładki, jak tylko znajdę się w swoim gabinecie. I po problemie.

– Witamy na pokładzie! Miło powitać nową dziewczynę w tym stadzie samców.

Jej brązowe oczy za ciężkimi szylkretowymi oprawkami błyszczą. Z miejsca czuję do niej sympatię.

– Tak. – Uśmiecham się z zakłopotaniem i spuszczam wzrok.

– Chyba za bardzo się wystroiliam.

– Podobno nie można się za bardzo wystroić.

– No nie wiem... – Nie wiem, co powiedzieć. Pasuję do nich wszystkich jak wół do karety i nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Sandra prowadzi mnie korytarzem – po jednej stronie znajdują się gabinety z oknami wychodzącymi na miasto, po drugiej

– boksy z komputerami.

– Twój gabinet jest pośrodku.

Czy to znaczy, że będę tu robić za *Głupiego Jasia*?

Wchodzę do całkiem dużego pokoju, ma duże okno wychodzące na rzekę. Na biurku z ciemnego drewna stoi laptop, wygląda na nowy. Obok leży kartka. Po drugiej stronie stoi pudło z dokumentami, jest jeszcze jedno na podłodze.

Kładę torbę na rdzawoczerwonym fotelu biurowym.

– Nieźle.

– Gabinet Tarona jest na rogu, po prawej. – Sandra wskazuje ręką. – A Jerry’ego po przeciwnej stronie. Chyba obu już poznałaś, prawda?

– Tak! – Uśmiecham się. – Przeprowadzali ze mną rozmowę wstępną.

Puszczą do mnie oko.

– Chyba obu im zależało na znalezieniu dobrego sąsiada.

Dzięki Sandrze trochę się uspokajam. Nie wiem dlaczego w ogóle się denerwowałam. Gdy tylko kobieta wyjdzie, mam zamiar wysłać SMS-a do Renée i podziękować jej za ostrzeżenia.

W tej chwili jednak zza Sandry wyłania się ciemna postać.

– Sandra, utwórz teczkę dla klienta z Madagaskaru.

Do naszej rozmowy dołącza głęboki, wyrazisty głos. Sandra aż podskakuje i się odwraca. Czuję na sobie ciemne oczy patrzące spod zmarszczonych brwi.

– Panie Fletcher, to nasza nowa pracownica, Raquel Morgan. Przejmuje zagranicznych klientów dla Tarona.

Serce wali mi jak oszalałe. W głowie mam jedną myśl – wow.

– Dla Tarona?

Jego twarz się napina. Spogląda na prawo, w stronę gabinetu Tarona, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem przez ścianę. Przez chwilę myślę, że może potrafi... Jako diabeł i w ogóle.

– Tak, Raquel Morgan... – powtarza Sandra i wskazuje na mnie, dokonując oficjalnej prezentacji. – Patton Fletcher.

– No tak. Witamy – rzuca Fletcher.

Wygląda na wkurzonego, a ja nie potrafię wydusić z siebie słowa. Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś tak młodego, a jednocześnie tak onieśmielającego. Ciemne włosy, odgarnięte z twarzy do tyłu, lśnącymi falami opadają na brzeg kołnierzyka jego koszuli. Ramiona ma szerokie. Bicepsy ledwo mieszczą się w rękawach niebieskiej marynarki, kiedy wyciąga w moją stronę elegancką dłoń – długie palce, wypielęgnowane paznokcie. Spod białego mankietu widać fragment tatuażu.

Chryste, weź się w garść.

Nasze palce się stykają, czuję, jak przepływa przeze mnie fala gorąca.

– Dziękuję – mówię z wytrenowanym spokojem, ale czuję się słabo.

Dlaczego nikt mi nie powiedział, że ten diabeł jest tak obłądnie przystojny?

– W takim razie teczka Madagaskaru idzie do niej.

Wręcza Sandrze szarą kopertę, a ona przekazuje ją mnie.

– To dziewczyna w twoim typie. – Patton mruży oczy, a Sandra mówi dalej: – Raquel potrafi mówić w pięciu językach.

– Czytać – wtrącam. – Przepraszam... Biegłe mówię tylko jednym. Oprócz angielskiego, oczywiście. Ale w pozostałych biegłe czytam. Z jakiegoś powodu czytanie jest łatwiejsze, niż mówienie.

Co ja bredzę? Przestań gadać, Rocky.

– Mam nadzieję, że tym, w którym mówią na Madagaskarze.

Głos Pattona brzmi lekceważąco, odwraca się, jakby miał odejść.

– Po francusku – mówię nieco głośniej – na Madagaskarze mówią po francusku. Ma pan szczęście.

Odwraca się do mnie. Uśmiecham się, by zatrzeć nie najlepsze pierwsze wrażenie. Jestem zawodowcem, nie jakąś mdlejącą z wrażenia nastolatką. Mierzy mnie od góry do dołu mrocznym spojrzeniem. Czuję, jak uginają się pode mną kolana.

– Wybierasz się na pogrzeb?

Jego sarkazm wywołuje we mnie złość. Jednak uśmiech nie schodzi mi z ust. Pamiętam, co powtarzała mi Renée, moją mantrę – pracuję w jednej z najlepszych firm w Nashville. Słyszałam, że to bardzo profesjonalne miejsce.

Kącik jego ust drga – nie wiem, czy to kiefkujący uśmiech, czy grymas. Przez chwilę myślę tylko o jego pełnych wargach, ale przeganiam tę myśl. Patton Fletcher mnie sprawdza, tak jak

uprzedzała mnie siostra. Nie obejdzie się bez walki, ale nie mam zamiaru się wycofać.

– Następnym razem wybierz coś kolorowego. Zależy nam, żeby nasi klienci wynieśli pozytywne wrażenia ze współpracy z nami, nie depresję.

Gbur!

Wychodzi, a ja nie potrafię się powstrzymać.

– Myślę, że poradzę sobie z doborem garderoby. – To jak mały prztyczek w nos.

– Wkrótce się przekonamy.

Zerka na mnie przez ramię. Też się drażni?

– Już od dawna sama się ubieram – dodaje.

Mogłabym powiedzieć, że jako szanujący się diabeł, to on powinien nosić tylko czerń... Ale nie mówię.

– Pracujesz tu dłużej ode mnie?

Na to pytanie nie chcę odpowiadać.

– Właśnie. – Odwraca się do Sandry. – Powiedz Taronowi, żeby do mnie wpadł, jak przyjdzie. O dziesiątej mamy wideokonferencję z Hastingsem i Keyem.

To chyba koniec. Uświadamiam sobie, że przestałam oddychać. Nabieram powietrza, kiedy wskazuje na mnie.

– Jutro spotkanie z Madagaskarem przez Skype'a. Sandra dopilnuje, żebyś miała wszystko, co potrzeba na dysku G. Masz być gotowa.

– Będę.

Wychodzi. Spoglądam na szarą kopertę, którą trzymam w dłoniach. Szlag. Co muszę wiedzieć na jutro?

Kiedy podnoszę wzrok, Sandra się uśmiecha, jedną brew ma uniesioną.

– Chyba musisz się brać do pracy. Hasło i wszystko, czego potrzebujesz, masz na kartce przy laptopie. Gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze, daj mi znać.

TIA LOUISE

Wychodzi i zostawia mnie samą w gabinecie, ale słyszę, jak odchodząc, mówi:

– Będzie wesoło.

Rozdział 2

Patton

Co to ma, kurwa, być?

Zamykam drzwi i podchodzę do biurka. Otwieram laptop, wysyłam wiadomość do Tarona.

Ja: Spotkanie z inwestorem za godzinę. Nie spóźnij się.

To tylko ułamek tego, co mam mu do powiedzenia. Ale z resztą poczekam, aż przyjdzie.

Padam na skórzany fotel, opieram się, zastanawiam nad nową sytuacją. Taron zatrudnił kobietę, żeby zajęła się klientami zagranicznymi? Szukam jego maila z piątku, który zignorowałem. Przeglądam szybko jej CV – przyznaję, robi wrażenie. Raquel Morgan ukończyła z wyróżnieniem jedną z najlepszych szkół MBA w kraju – a ze względu na umowę, jaką mój tata zawarł z Vanderbilt University milion lat temu, każdego roku trafiają do nas na rozmowy rekrutacyjne najlepsi absolwenci.

Jeśli kogoś potrzebujemy.

Nie wiedziałem, że teraz potrzebowaliśmy, ale w wielu sprawach dałem chłopakom wolną rękę. A teraz mamy na pokładzie tę bardzo bystrą i bardzo piękną kobietę... Raquel Morgan. Zaciśkam zęby. Czy on naprawdę chce znów przez to przechodzić?

Podnoszę ciężkie pióro leżące obok komputera, stukam końcówką o blat. Lustruję gabinet – od statuetki psa stojącej na krawędzi mahoniowego biurka, po ciężki mosiężny zegar znajdujący się obok, od skórzanych foteli po przeciwnej stronie pokoju,

po skórzaną kanapę pod ścianą. Regały wypełnione książkami w twardych oprawkach, trochę beletrystyki, trochę literatury fachowej.

Wszystkie nasze gabinety wyglądają tak samo. Wszystko w firmie do siebie pasuje – ciemne drewno, droga skóra, błyszcząca mosiądz...

Sami faceci.

Sandra jest tu jedyną kobietą nie bez powodu. Najważniejszy to taki, że zatrudnił ją jeszcze mój tata, zanim odszedł na emeryturę, a ona zdołała z nami przetrwać okres przejściowy. Kiedy przed siedmiu laty ojciec przekazał w moje ręce swoje ukochane dziecko – agencję pośrednictwa wynajmu nieruchomości komercyjnych – niczym znicz olimpijski, przejąłem je i ruszyłem z kopyta. Ściągnąłem Taronę i Marleya, wprowadziliśmy nowe technologie, zrezygnowaliśmy z papierowej dokumentacji, zaczęliśmy szukać klientów na całym świecie.

Fletcher International wprowadziło rynek nieruchomości komercyjnych na zupełnie nowy poziom technologiczny. Staliśmy się dla niego tym, czym Airbnb dla turystyki. Kojarzemy klientów, którzy potrzebują krótkoterminowego najmu powierzchni biurowych z właścicielami, którzy szukają najemców. Dotąd rozwijaliśmy nasz model działania na niewielkich rynkach, a dziś jesteśmy gotowi wejść z przytupem do Nowego Jorku, Los Angeles czy Chicago. Potrzebujemy tylko trochę kapitału na start, żeby zapewnić sobie ekskluzywne nieruchomości, z jakimi chcemy wejść na te rynki.

Taron i Marley idealnie tu pasują. Znają międzynarodowe zwyczaje i ufam im. Zawsze możemy na siebie liczyć. Sawyer też byłby tu z nami, jak zawsze, gdyby nie wrócił do rodzinnego gospodarstwa. Jesteśmy braćmi – nikogo nie zostawiamy w tyle. A poza tym, rodzina to najlepsi pracownicy.

Niestety, ostatnio okazuje się także, że nikt nie potrafi cię wykorzystać tak, jak najbliżsi. Marley zaczyna być ciężarem. Przy-

chodzi późno, na haju, albo nie do końca trzeźwy po nocnej popijawie. Taron powoli zrzuca z siebie kolejne obowiązki, myśląc, że tego nie widzę. Oddanie klientów zagranicznych to jego najnowszy sposób na obniżanie swojej rangi w firmie.

Wygarnąłbym mu, ale jest cholernie skuteczny w zdobywaniu nowych klientów. Ma naturalny urok, który przyciąga do nas ludzi. Do licha, w większości przypadków nawet ja łapię się na ten jego czar, zamiast się na niego wkurzać. Może ostatecznie byłbym skłonny zaakceptować jego decyzję o zatrudnieniu nowego pracownika, ale co on, do cholery, sobie myślał, zatrudniając ją?

Bicie zegara przypomina mi o spotkaniu, które ma się rozpocząć za dziesięć minut. Już mam wysłać Taronowi SMS-a z opieprzem, kiedy staje w drzwiach. Chwyta za klamkę z grymasem na twarzy, odchrząkuje.

– Przepraszam, jestem dziś trochę wolny. Spotkanie tutaj?

– W sali konferencyjnej. Nie siadaj.

Kiwa głową i odwraca się ostrożnie. Wiem, co się dzieje.

– Znów plecy?

Ten upadek w dżungli spieprzył mu kręgosłup. Przez miesiąc tykał środki przeciwbólowe, na koniec został z dwoma problemami. Kiedy wreszcie uporał się z uzależnieniem, obiecał sobie, że nie tknie już nigdy takich środków, więc albo pije, albo po prostu zaciska zęby i próbuje jakoś wytrzymać. Dziś wygląda, jakby walczył i z bólem, i lekkim kacem, ale nie będę się czepiał.

Minęło siedem lat, a ja wciąż czuję się odpowiedzialny za to, co stało się w dżungli.

– Mogę to załatwić sam, jeśli wolisz tym razem odpuścić.

Idzie do sali konferencyjnej, kulejąc. Jestem tuż za nim. Odpowiada z nerwowym śmiechem:

– Mam cię zostawić samego ze Stephenem Hastingsem? Rozumiem, że nie zależy nam na ich kasie?

– Będzie Remington. Mówi, że są zainteresowani. To już załatwione.

– Działają w branży wojskowej i ochronie zdrowia. Musimy się jeszcze trochę postarać, żeby wciągnąć ich w nieruchomości komercyjne.

Kiedy Taron siada na skórzanym fotelu przy okrągłym stole, jego twarz wykrzywia grymas. Po jednej stronie znajduje się wielki monitor, pośrodku iPad Pro.

– To solidna oferta. A my mamy już swoją renomę, nie jesteśmy nowicjuszami w Seattle. – Dyplomacja nie jest moją mocną stroną, ale jestem gotowy wypłynąć na szersze wody, a ci goście mają kasę, której potrzebujemy, żeby to zrobić teraz, zanim ktoś nas wyprzedzi. A do tego wcale nie są pazerni – chcą tylko piętnaście procent zysków, bez prawa do kontroli czy nadzoru.

Taron lekko się uśmiecha.

– Są tu ze względu na twojego ojca.

Ta uwaga wywołuje u mnie gęsią skórkę. Tata był dyplomata jak Taron. Uciszał burze, które ja wywoływałem. Ale to ja wprowadziłem tę firmę w XXI wiek. To ja nad wszystkim panuję.

Monitor mruga i na podzielonym na dwie części ekranie pojawia się Remington Key z jednej strony i Stephen Hastings z drugiej.

– Patton, Taron, dzień dobry. Jak tam u was, gorąco? – Remi uśmiecha się przyjacielsko, jest rozluźniony, nie ma marynarki.

– Jak to latem w Nashville. – Taron też się uśmiecha, uwalnia swój urok.

– Z tego co słyszę, wszyscy mamy podobnie.

Remi jest w południowej Karolinie, a Stephen w Nowym Jorku.

– Skoro już mowa o upale, widzieliście nowego ScanEagle¹, którego testują w Key West? – Remi klika coś w laptopie. Po jego lewej stronie na ekranie pojawia się dron wyglądający jak samolot z folii aluminiowej.

– Tak. – Taron pochyla się do przodu. Wyglądają teraz jak dwaj chłopcy bawiący się samochodzikami. – Z tego co słyszałem, wykorzystują je do walki z przemytem narkotyków.

¹ ScanEagle – taktyczny, rozpoznawczy, bezzałogowy aparat latający opracowany przez amerykańską firmę Boeing i Insitu, Inc. (przyp. red.).

– Wykorzystują je, do czego tylko chcą. – Remi wybucha śmiechem. – Szkoda, że nie widziałeś, jak startują.

– Panowie. – Stephen się nie uśmiecha. Ma na sobie tweedową marynarkę. – Na pewno wszyscy jesteśmy bardzo zajęci.

Taron odchyła się do tyłu, a Remi zamyka laptop. Koniec gadki szmatki. I dobrze. Nie jestem w tym dobry.

– Przeanalizowałem waszą propozycję. Podoba mi się – zaczyna Stephen.

Trochę się rozluźniam. Nie uśmiecham się, ale jego wstęp brzmi zachęcająco. Dopasowuję swój ton do jego i mówię pewnie:

– Jesteśmy gotowi, żeby zostać liderem w tej branży. Fletcher International stanie się synonimem najmu krótkoterminowego jak Xerox jest synonimem kopiarki.

– Nie ma co do tego wątpliwości. Zostawiliśmy innych w tyle.

Remi buja się na krześle i bawi piłeczką antystresową w kształcie piłki baseballowej.

– Dziwię się, że nikt wcześniej na to nie wpadł.

– Zacząłem rozwijać tę działalność, gdy zostałem prezesem. – Marynarka leży, jak powinna. Przedramiona opieram na stole. Obserwuję Hastingsa wpatzonego w papiery leżące przed nim.

– Nasz globalny portfel klientów rośnie w postępie geometrycznym. Jesteśmy gotowi na rozszerzenie naszej oferty i chcemy, żeby ta oferta obejmowała tylko to, co najlepsze.

Brwi Stephena opadają.

– Macie tylko jednego klienta w Emiratach.

Taron pochyla się do przodu.

– To jeden z powodów, dla których musimy się rozwijać. Firmy z miast takich jak Dubaj czy Abu Zabi szukają powierzchni najmu w Los Angeles czy Nowym Jorku. Jak tylko pozyskamy nowe nieruchomości, będą walić do nas drzwiami i oknami. Będą lokale, będą klienci.

Kończy pozytywnym akcentem, ale w pokoju zalega cisza, którą maści tylko dźwięk zamykania i otwierania klipsa do papieru.

– Pokonałeś długą drogę bardzo szybko... – Słowa Stephena zawisają niczym pętla gotowa, by zacisnąć się na mojej szyi. – Ale jeszcze nie dotarłeś do celu.

Jakby zabrakło powietrza w pokoju. Mam ściśnięte gardło. Wzbiera we mnie złość.

– Słucham?

Hastings zamyka teczkę i rzuca ją przed siebie na biurko.

– Potrzebujecie więcej dużych najemców. W przeciwnym razie wystartujemy, a klienci ze Stanów i Europy nas ominą. Mogą to załatwić sami. Pokaż mi, do czego jesteśmy im potrzebni.

Zaciskam usta. Nie mam zamiaru go błagać. Taron się nie poddaje.

– Mylisz się. – Wstaje za szybko, dostrzegam grymas na jego twarzy. Grymas znika. – Świadczymy usługi pośredniczące. Nasi klienci nie mają ochoty rozgryzać naszej specyfiki najmu, zajmować się kwestiami bezpieczeństwa czy logistyką. Mamy doświadczenie i kontakty, dzięki którym wszystko przebiega bezproblemowo. Oferujemy tylko najlepsze nieruchomości i najwyższe bezpieczeństwo.

– Chcę zobaczyć grube ryby. Wróćcie do mnie, jak je złowicie.

– Ton Stephena jest zdecydowany.

Patrzę na Remiego – zachowuje pokerową twarz. Nie mam czasu na to gównu.

– Panowie, chciałem robić z wami interesy – mówię spokojnym tonem. – Mam nadzieję, że będziemy jeszcze potrzebować inwestorów, kiedy zmądrzejecie.

Pochyliam się do przodu, by zakończyć rozmowę, ale wkracza Taron z gałązką oliwną.

– Powoli, panowie, będziemy ich mieć. Chcecie pewniaka. Właśnie pracuję nad kilkoma nowymi klientami. Może spotkamy się znów za tydzień?

Wyraz twarzy Stephena się nie zmienia, za to Remi się uśmiecha.

– Niezły plan. Odezwijcie się, gdy będziecie gotowi.

– Jasne. Do usłyszenia wkrótce. – Taron się pochyla i wciska przycisk kończący rozmowę. Wzdycha głośno. Wstaje, gotowy przejść do następnego nazwiska na liście.

– Pieprzyć ich. Braden Investments pisali w ubiegłym tygodniu, że są gotowi w to wejść.

Taron siedzi z rękami opartymi na stole, studzi moje emocje.

– Braden chcą większego udziału w zyskach i większej kontroli nad tym, na który rynek wchodzimy i kiedy. Nie spodoba ci się to.

Dobrze mnie zna.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Daj mi tydzień. Rozmawiam z Pro Partner i AmCham, obie firmy z Abu Zabi i obie są zainteresowane. Raquel pomoże mi z Madagaskarem, a ja skupię się na nich. Potem wrócimy do Remy'ego.

Kładę palce na ustach. Rozważam jego propozycję.

– Za tydzień damy im ostatnią szansę.

Stoję gotowy, by wrócić do gabinetu. Przystaję w drzwiach.

– Dlaczego zatrudniłeś właśnie ją?

Wie, o czym mówię, potwierdza to jego ironiczny uśmiech.

– Jest dobra. Potrzebujemy jej.

– Nikogo nie potrzebujemy.

– Potrzebujemy Hastingsa i Keya, i potrzebujemy Raquel Morgan. Ukończyła studia z najlepszym wynikiem na roku.

– Nie było żadnego faceta, który zna pięć języków?

– Słyszałeś o różnorodności?

– Arab świetnie by się nadał.

– Jasne. – Zaśmiał się.

– Świetnie by to przyjęli nasi klienci w Nashville. Pamiętaj, że to nadal większość naszego portfela.

– Pamiętasz czasy, kiedy wszyscy mówili po angielsku?

– A słońce nigdy nie zachodziło nad Imperium Brytyjskim?

Tak, ale czasy się zmieniły. – Ruszam w stronę drzwi, pocierając

ręką czoło. – To małe biuro. Pracujemy na małej powierzchni. Kobiety stwarzają problemy.

– O co ci chodzi? – pyta Taron.

– Trzeba było zatrudnić faceta.

Drzwi same się otwierają, czuję, jak zaciska mi się gardło. Raquel staje przede mną, jej szaroniebieskie oczy wbijają się we mnie, jakby była czarownicą. To o nią chodzi. Nie o kobiety w ogóle, tylko o nią.

– Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam – mówi.

Czuję, że Taron odwraca twarz w naszą stronę, ale nie mogę oderwać od niej wzroku. Nie ma już czarnego żakietu. Jej kremowa jedwabna bluzka jest cienka, niemal przezroczysta. Widzę zarys koronkowego biustonosza na oliwkowej skórze. Zasycha mi w ustach.

Kurwa. Kiedy ostatni raz dotykałem kobietę? Tak bardzo chciałbym dotknąć akurat tę, że zaciskam pięści. Co jest?

Odchrząkuję i odwracam się.

– O co chodzi?

– Sandra mówiła, że tłumaczenie ma być gotowe do końca dnia.

Trzyma w ręce cienką szarą kopertę, którą jej dałem.

– Jest na serwerze? – Mój ton jest szorstki.

– Oczywiście. Pomyślałam tylko, że może wołałby pan wiedzieć od razu, że jest już gotowe, zamiast sprawdzać.

Jest cholernie silna. To jej pierwszy dzień w pracy, a zachowuje się, jakby tu rządziła.

Chcę podziękować, ale bardziej przypomina to warknięcie. Obchodzę ją i wracam do swojego gabinetu, ale jej zapach – imbir i kokos – podąża za mną.